

STANISŁAW SŁAWIECKI.

OSTATNIA PIEŚŃ.

NOWELA.

Miękkim ruchem rzucona, siedziała Zochna w wygodnym fotelu. Drobna główkę, zwojami aksamitnych, miedzianej barwy włosów pokrytą, na lewej wsparła rękę, profilem do świecącej zwróciła lampy. Światło, przez czerwony klosz się przedarłszy, krwawymi refleksami muskało jej włosy, zarysowało precyzyjne kontury wysokiego czoła, prostego, łagodnego nosa; drobne usta rubinami się mieniły nad drobną, krągłą brodą. Prawą rękę opuściła leniwo, wzdłuż szlachetnie przez suknię rysującego się uda. Wypieszczone paluszki na granatowej sukni lśniły mleczną białością...

Było w tej pozie coś z smutku i zamyślenia, rezygnacy i poddania się...

Oczy ciemne, matowe nieruchomo patrzyły w głąb w mroku kąta saloniku...

Na tle blade-fioletowego matu szyb, tuż za siedzącą, rysowała się ostro ciemna sylwetka mężczyzny.

O zimną szybę wsparł czoło. Zdało się, że przylgnął do niej... że patrzy w nią, nie bezmyślnie, lecz z jasno wytkniętym celem. Zdawało się, że w ciemni wieczoru, przez szklane tafle, wyczytać ma odpowiedź; że posiedzie tajemnicę, która go gnębi.

Cisza legła między nimi, lecz nie ta, co szczęście niesie, zapomnienie...

Nie...

Cisza legła między nimi, lecz ta zdradziecka, na każde czyhająca słowo; ta cisza pierwszego niezrozumienia, co życie daje próżniom nieprzebytym.

Ta cisza pierwszych, drobnych nieporozumień, a jakże srogich, jak bolących...

Ta, co zarodki stwarza przyszłych bólów, nie szczęść i rozpacz...

Na serwantce tylko, renesansowy, złożony zegar sekundy szeptał dyskretnie...

...a fajansowy amant w peruce i aksamitnym fraku, flirt z damą swego serca bez troski uprawiał...

Minuty biegły.

— Dlaczego milczysz uparcie?

— — — — —

— Czy długo jeszcze...

— Stachu! — szepnęła z naciskiem, głosem nie mogącym ukryć zniecierpliwienia.

Nerwy w niej ożyły. Oczy zamigotały żywym blaskiem; poruszyła się niecierpliwie.

— Mówże przecież... Sław — szepnęła miękko.

Nie odwrócił głowy, nie zmienił pozycji.

— Co mam mówić — rzekł stłumionym głosem — co? Myśli jednej nie ma pod tą czaszką...

— Uciekły? — spytała śmiejąc się — to u ciebie od myśli się zaczyna?

— Drwisz już?

— Sław! — zawołała z wyrzutem...

...Sław, bądź dobrym; bądź dobrym przynajmniej przez wspomnienie na minione chwile. Bądź dobrym, przynajmniej dziś... przy pożegnaniu... któż wie, gdzie nas Marsa pogonia rozkazy... może to nasze ostatnie spotkanie...

— Minione chwile, mówisz... ostatnie spotkanie?... Spieszno Ci zakończyć ten melodramat?...

— A jeżeli on będzie naprawdę dramatem...

Odwrócił się od okna i wielkimi krokami podszedł do niej.

Oczy mu gorzały; mówiły przez nie żal i bojaźń, że rozpada się czarowny gmach szczęścia i miłosnych tęsknot, że runie i nie powstanie więcej... że już nie wróćą szczęsne chwile tych przeraźliwych upojen...

...że serce znowu zaleje niepokój, boleść i rozpacz. Niepokoje szeregu ostatnich dni, nurtujące mu duszę, przywidzenia i podejrzenia zbiegły się w tej chwili do jego serca i przepełniły je goryczą.

Fala rozżalenia uderzała w nie coraz silniej i natarczywiej, aż przemogła wszelkie skrupuły i potoczyła się wartkim strumieniem namiętnej skargi.

— Chcesz, żebym mówił? — pytał, lecz nie czekając odpowiedzi, mówił szybko:

— Chcesz żebym mówił... to długa historia, bardzo długa i wątpliwa, czy interesująca. Ciebie nużyć będzie...

— Jesteś dziś bardzo miłym. Chcesz widocznie, aby sympatyczne po tobie zostały wspomnienia... Doprawdy, nie rozumiem twego rozdrażnienia. Czy masz żal do mnie?

Dlaczego milczysz znowu?

Sław! co ci jest... powiedz mi, powiedz, dziecino droga. Mów, skarż się, siadź sobie tu obok mnie na taburecie i mów, mów...

— Zochna! — wybuchnął z płaczem niemal, rzucając się na kolana i tuląc głowę do jej kolan.

Ona ujęła jego rozpaloną głowę w swe miękkie dłonie i pieściła krwią tętniące skronie...

— Co dziecino, co? Dlaczegoś taki...

— Zochna...

— Co ci.. co?

— Czy ty mnie kochasz jeszcze, czy ty mnie kochasz tak jak dawniej, powiedz mi — mówił namiętnie, w jej oczy błagalnie wpatrzony — powiedz mi... Odejdę jutro — pójdę w szarym tłumie i padnę tam gdzieś w dali od pierwszej lepszej kuli...

— Cicho, cicho — uspokój się, Stachu...

— Padnę i nie zobaczymy się już więcej. Pójdę naprzeciw śmierci spokojny, bez trwogi, jeżeli myśl ma o mój skarb spokojną będzie. Jeśli odchodząc zostawię cię taką, jaką byłeś... taką moją, ukochaną, kochającą...

— Dlaczego wątpisz? Skąd te myśli niespokojne?

Nie odpowiadał, zamknawszy oczy. Czoło rozdzieliła mu głęboka bruzda. Zamknął się w myśleniu, niespokojnych myśli nie mogąc zrozumieć, w całość sklecić. Tłukły się mu pod czaszką bez miłosierdzia. Najwyraźniej czuł tępe uderzenia w skronie...

Mimowolne wydarło się westchnienie.

— O czym myślisz?

— O tobie. O tobie myślę, lecz jakże inaczej niż dawniej. Myśli me, to już nie te radosne pieśni o tobie i dla ciebie, lecz jakieś dziwne, niepokojące. Ty mnie już nie kochasz...

— Sław!

— Daj mi mówić! Ty mnie nie kochasz już; ja to widzę, ja czuję... Ja to widzę z twojej twarzy, w twoich oczach, w każdym ruchu; ja to odczuwam w twoich słowach, pieśniami. Tobie się zdaje, że mnie jeszcze kochasz, ty łudzisz sama siebie. Ty jeszcze o tem nie wiesz, nie zdajesz sobie sprawy, lecz ja to widzę jasno, jak strasznie jasno...

— Cicho, Stachu; jesteś zdenerwowany, podrażniony. Imaginacja twoja pracuje zbyt żywo. Uspokój się... Pójdiesz na wojnę, trudno — ja bardzo cierpię — ale wrócisz przecież, wrócisz — ja w to wierzę. A wtedy...

— A wtedy?...

...To właśnie straszne. Pójdę; choćbym jednak wrócił, ty już nie będziesz tą... moją, moją, moją... Ty już dziś nie jesteś całkowicie moją... ja czytam to w twoich spojrzeniach, które kradną inni, z moich skarbów mię odzierając. Nie będziesz moją i z tem się pogodzić nie mogę. Ta myśl ciężarem mi będzie w godzinę śmierci... jak ciężko konać mi przyjdzie gdzieś w polu, w cichą noc — z kulą w sercu... Pomyśleć, że nie zostanie po mnie nikt, kto mnie kocha, nikt naprawdę mój...

Płaczesz?

— Sław — szepnęła ze szlochom — dlaczego się znęcasz nademną. Po co, zamiast w radości i szczęściu przeżyć tych kilka godzin przed rozstaniem, nękaś mnie i siebie... Na co cierpieć, gdy można nie cierpieć? Czyż nie od nas zależy w tej chwili, byśmy byli szczęśliwi, bardzo szczęśliwi?

— Stachu, Stachu — mówiła, okrywając pocałunkami jego czoło. — Nie mówmy już o smutkach.

— Zochna...

— Co Stachu?

— Wiesz — twoje łzy...

— Nie mów już. Dość tego kapryśnienia — ja chcę od ciebie pieśniami, dużo, dużo...

— Twoje łzy — mówił uparcie, nie zważając na jej słowa — czynią na mnie wrażenie łez na porzeczbie. Te łzy nad grobem naszej miłości... A może to mądre zrządzenie losu. Pocóż, mając zginąć, mam serce twoje zabierać światu? Przyjdą po mnie inni... też sercem obdarzeni. Minie tydzień, drugi — będzie ci smutno, chwilami zapłaczesz, a potem zapomnisz. Zapomnisz, jak zapominają setki i tysiące.

— Czemu się tak znęcasz nademną? Czy mało ci dałam dowodów mej miłości. Czy mało w niej okazałam szczerości... mało-żem dla niej wycierpieć musiała? Wszak miłość ta nasza z mojej zrodzona boleścią, z długich godzin strasznej rozpacz. Czyż nie dla ciebie rzuciłam dom i wszystkich tak drogich mi i kochanych dawniej?... Jakich jeszcze pragniesz dowodów...

Miałabym rzucać ten mój skarb jedyny, zrywać tę nić jedyną, która mnie jeszcze z życiem wiąże?

Stachu, Stachu! — szeptała, osuwając się do jego kolan — wierzysz już, nie wątpisz?...

Pochwyciła bieluchnymi rączkami jego szyję i otuliła go swym gibkim ciałem, jak lodyga wiośnia-

nego powoju. Nagięła poddającą się, zbolała jego głowę i usta swe karminowe w jego zatopila ustach.

Z oczyma zamkniętymi biernie poddawał się pieśniami, myślami goniąc wspomnienia tych pierwszych, dawnych, z nią przeżytych chwil.

— Wiesz Zochna, w tej chwili mi się zdawało, że to powrotna fala uczuć przyniosła mi z powrotem tę pierwszą i jedyną chwilę... tę cudną... cudną... pierwszą i...

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

— Ostatnią — szepnęła.

— Nie, nigdy... Niech będzie ona nowym ogniem, które nierozdzielnie nas połączy na wieczność całą...

Smutny uśmiech na jego ustach zawitał.

— Wierzę ci, wierzę Zochno, nie wątpię nigdy, nigdy... Lecz pomyśl, jeśli zginę...

— Nie mów.

— Jeśli zginę, co poczniesz, co? Czy oprzesz się wirowi życia? Czyż podobna żyć tylko wspomnieniem? Łudzisz się, łudzisz — człowiek nie może tak trwać jak głaz zimny. Ten nawet wietrzeje...

Milczeli w namiętnym spojeni uścisku.

Cisza znow rozsiadła się smętna, tylko złożony, renesansowy zegar szeptał dyskretnie sekundy... a fajansowy amant na serwantce z swą Beatrycą flirt uprawiał bez troski...

Przez ścianę skądś przedzierały się dźwięki muzyki... tony fortepianu płynęły leniwo, smutno... Przeciskały się do ich uszu, opanowywały wzburzone umysły, kołysły.

Tęsknota dziwna porwała ich, rwąc nici rzeczywistości... Uniósł ją łagodnie z dywanu.

— Zagraj, jak dawniej... pamiętasz?...

Bez szmeru usiadła przy pianinie.

— Zagram ci co wesołego; rozpogódź twe boskie oblicze — rzekła z wdziękiem kokieteryi.

— Nie, nie... zagraj coś właśnie burzliwego, porywającego.

Myślała chwilę.

— Wiesz, tę *etudę* Chopina, na zdobycie Warszawy...

Położyła swe wypieszczone, drobne palce na lśniących klawiszach. On usiadł w kącie saloniku, tonąc w panującym mroku.

Chwilę cisza.

...Zrazu jakieś odezwały się dzwony, szybko, nerwowo pociągane ręką. Jęły wołać głośno, coraz głośniejsze, wymownym wzywając językiem: „do broni, do broni“... Jakiś dreszcz przejmujący... jakiś jęk konającego, do życia się rwącego istnienia...

...potem głucho odgłosy stu dymiących, ogniem ziejących dział; coraz bliższe, bliższe...

Coraz głośniejsze, straszliwsze, dzikie... Znowu wezwanie krótkie, przerywane — ostatnie drgnienia...

Myśl biegła w szarą przeszłość, dał, na wolki trakt... mieszała się w szeregi, w zgłębku tonęła bitwy, w szczęk stali, jęku konających...

Stłumiony grzmot.

I znowu myśl płynie bezwiednie... tam wśród okopów, wśród rozbitych armat, wśród setek trupów i jęczących rannych... on, Ordon... Ordon nieśmiertelny... Potem jakiś zgłęb, tumult i jęki...

Cisza. Straszna cisza.

A myśl wiła się twórcza, wyobrażenia pracowała niezmordowanie.

Zdobywca wdarł się...

...Warszawa padła...

...Wróg hula bezkarnie... wszędzie jęki i płacz... Jakże dziwnie zmieniają się role. Wczoraj tamci, dziś ci zdobywcami...

...I ty pójdiesz...

...Pójdiesz, a ona zostanie tu, na pastwę losu. Zostanie sama bezradna, bezsilna Zochna... kochana.

— Zochna! — poruszyły się mimowoli wargi w cichym szepcie.

— Nareszcie przemówiłeś; siedzę i patrzę na ciebie od dłuższej chwili, a mój pan, mój władca zamysłony, zadumany — mówiła z uśmiechem.

— Czy wolno wiedzieć, co niesie w sobie ta chmura na twym czole: czy śnieg bieluchny i radość dziecięcą czy burzę i zimny deszcz?

Podeszła do niego.

— Dzieciaku, dzieciaku — nówił — ani ci przez myśl nie przejdzie, co za przedziwne śniłem w tej chwili obrazy, gdzie myśl ma błądziła.

— Nie wiem gdzie błądzi Twoja myśl królewska, ale wiem zato, gdzie być powinna.

— Powiedz.

— Dokoła ust mych winna się snuć, szyję mą opleść girlandą róż bieluchnych, wpleść się we włosy i skroni całować...

— Dzieciak! — śmiał się.

— I cóż jeszcze?

— Powinna dokoła mnie krążyć jak motyl, słodczy kwiecie spragniony... i pić ją, pić...